

SUE TOWNSEND ADRIAN MOLE

Na
manowcach

Townsend jest niezawodna. Fani będą się śmiać z każdego zdania.
„Sunday Times”

Z recenzji cyklu książek
o Adrianie Mole’u:

Losy zupełnie nieprzystosowanego do życia Adriana Mole’a, jego obsesja na punkcie kobiecej anatomii, okropni rodzice i absurdalna twórczość składają się na cudownie dowcipny cykl powieściowy.

„Daily Telegraph”

Sue Townsend ma absolutne prawo do miana najzabawniejszej angielskiej autorki.

„Mail on Sunday”

Jak zawsze u Townsend genialność łączy się z prostotą.

„Independent”

ADRIAN MOLE

Na

manowcach



SUE TOWNSEND

ADRIAN MOLE

*Na
manowcach*

Przełożyła
Magdalena Koziej



Tytuł oryginału: *Adrian Mole. The Wilderness Years*

Copyright © Sue Townsend, 1993. All rights reserved.

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2007
Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo W.A.B., 2007

Wydanie I
Warszawa 2007

Moim siostram, Barbarze i Kate

*...Nie czas żałować minionych
Nieszczęść, gdy już im zaradzić nie można.*

William Szekspir, *Zimowa opowieść*
(przekład Macieja Słomczyńskiego)

ZIMA

wtorek 1 stycznia 1991

Zaczynam nowy rok w strasznym stanie: ból rozsadza mi czaszkę i jestem cały roztrzęsiony. Wszystko przez to, że na wczorajszym przyjęciu matki zmuszono mnie do nieumiarkowanego spożywania alkoholu.

Bawiłem się całkiem nieźle, siedząc sobie na krzeselku z jadalni. Przyglądałem się tańczącym i sącyłem niskokaloryczny napój, ale matka bez przerwy pokrzykiwała na mnie: „Daj czadu, smutasio!” i nie spoczęła, póki nie wypilem półtora kieliszka lambrusco.

Gdy niepewnym ruchem nalewała mi wino do plastikowego kubeczka, zlustrowałem ją dość dokładnie. Wokół ust matki zebrały się krótkie zmarszczki, niby niezliczone dopływy rzeczne wpadające do szkarłatnego jeziora. Jej czerwone włosy lśniły, ale siwe odrosty tuż przy skórze zdradzały prawdę; skóra na szyi była obwisła, dekolt pomarszczony, a brzuch wypychał małą czarną (b a r d z o małą), w którą się wcisnęła. Nieszczęsna kobieta ma czterdzieści siedem lat i jest o dwadzieścia trzy lata starsza od swego drugiego męża. Wiem z całą pewnością, że ów mąż, Martin Muffet, n i g d y nie widział jej bez makijażu. Jej powłóczki na poduszki są w haniebnym stanie: całe upačkane podkładem i tuszem do rzęs.

Nie minęło wiele czasu, jak znalazłem się na zaimprovizowanym parkiecie tanecznym w salonie mamy i zacząłem podrygiwać do *The Birdie Song* obok Pandory, miłości mego życia, nowego kochanka Pandory, profesora Jacka Caven-

disha, Martina Muffeta, mojego chłoptasiowatego ojczyma, Ivana i Tani, wyluzowanych rodziców Pandory, oraz innych nietrzeźwych krewnych i znajomych mojej matki. Gdy skoczna muzyka zmierzała ku apogeum, nagle pochwyciłem swoje odbicie w lustrze nad kominkiem. Wymachiwałem łapami i szczyrzyłem się jak jakiś wariat. Natychmiast przestałem i wróciłem na swoje krzesło. Bert Baxter, któremu w zeszłym roku stuknęła setka, wykonywał niezdamny taniec na wózku inwalidzkim, więc nie obyło się bez ofiar. Z powodu jego nieostrożności lewą kostkę mam teraz posiniaczoną i opuchniętą. Na przodzie mojej nowej białej koszuli widnieje wielka buraczkowa plama, ponieważ Bert cisnął we mnie jedną ze swoich słynnych kanapek z burakami (pozostając w błędnym przekonaniu, że to serpentyzna). Jednak biedny stary pacan pewnie kopnie w tym roku w kalendarz – otrzymał telegram od Królowej – więc nie każę mu zwracać forsy za specjalistyczne pranie na sucho, którego zapewne będzie wymagać koszula.

Opiekuję się Bertem Baxterem już od ponad dziesięciu lat, przyjeżdżam z Oksfordu, by go odwiedzić, kupuję mu te wstrętne papierosy, obcinam ohydne paznokcie u stóp i tak dalej. Kiedyż to się wreszcie skończy?

Około 23.30, choć nie był zaproszony, zjawił się na przyjęciu mój ojciec – pod pretekstem, że ma pilną sprawę do babci. Babcia jest głucha jak pień, więc musiał przekrzykiwać muzykę, by ją poinformować, że nie może znaleźć poziomnicy.

Co za żalony wybieg! Komu oprócz hydraulika wezwanego do awarii potrzebna w sylwestra poziomnica! To było pożałowania godne skomlenie samotnego, czterdziestodwunastoletniego rozwodnika. Powinien koniecznie oddać do pralni swój granatowy garnitur z lat osiemdziesiątych i wywalić do śmieci brązowe mokasyny. Zrobił, co tylko się dało z resztką swych włosów, ale efekt był mizerny.

– Czy ktoś widział może moją poziomnicę? – dopytywał się wytrwale ojciec, zezując w stronę stołu z alkoholem.
– Właśnie układam płyty chodnikowe – wyjaśnił.

Słyszając to wierutne kłamstwo, parsknąłem śmiechem.

Skołowana babcia wycofała się do kuchni, by podgrzać w mikrofalówce kielbaski w cieście, matka zaś uprzejmie zaprosiła byłego męża do wspólnej zabawy. Wkrótce zerwał z siebie marynarkę i zaczął szaleć na parkiecie z moją ośmioletnią siostrzyczką Rosie. Styl tańca ojca wywołał u mnie ostry atak zażenowania (wciąż naśladuje Micka Jaggera), więc udałem się na górę, by zmienić koszulę. Po drodze natknąłem się na Pandorę w namiętym uścisku Sinobrodego Cavendisha, który wciągnął ją do połowy w głąb szafy ściennej. Jest taki stary, że mógłby być jej ojcem.

Pandora należy do mnie, od kiedy w wieku trzynastu lat zakochałem się w jej włosach o barwie melasy. Po prostu zgrywa się na trudną do zdobycia. Wyszła za Juliana Twyseltona-Fife'a tylko po to, by wzbudzić moją zazdrość. Inne powody nie wchodzą w rachubę. Julian jest biseksualnym półarystokratą, który od czasu do czasu nosi monokl. Sili się na ekscentryczność, ale efekty tych starań są doprawdy lichy. Julian to pospolity facet mówiący z akcentem wyższych sfer. I nawet nie jest przystojny. Wygląda jak koń na dwóch nogach. A na myśl o romansie Pandory z Cavendishem, gościem, który ubiera się jak bezdomny, po prostu mózg mi staje.

Pandora wyglądała prześlicznie w czerwonej sukience z odkrytymi ramionami, z której na próżno usiłowały wyskoczyć jej piersi. Patrząc na nią, nikt by się nie domyślił, że jest to teraz doktor Pandora Braithwaite, która biegle włada rosyjskim, serbsko-chorwackim i zna jeszcze wiele innych mało używanych języków. Wyglądała jak jedna z tych supermodelek, które kocim krokiem suną po wybiegu, a nie jak pani z doktoratem. Bez wątpienia dodała przyjęciu splendoru, w przeciwieństwie do swych rodziców, którzy jak zwykle byli ubrani w stylu bitników z lat pięćdziesiątych – w golfy i sztruksy. Nic dziwnego, że oboje oblewali się potem, podrygując przy Chucku Berrym.

Pandora uśmiechnęła się do mnie, wpychając lewą pierś w sukienkę. To był cios w samo serce. Naprawdę ją kocham.

Jestem gotów czekać, aż pójdzie po rozum do głowy i pojmie wreszcie, że na świecie istnieje tylko jeden odpowiedni dla niej mężczyzna, i jestem nim ja. Dlatego właśnie pojechałem za nią do Oksfordu i zamieszkałem czasowo w pakamerze w jej mieszkaniu. Przebywam tam od półtora roku. Im częściej będzie miała ze mną styczność, tym szybciej doceni moje zalety. Oczywiście muszę na co dzień znosić upokorzenia, widząc ją z mężem i kochankami, ale zbiorę plon później, gdy już będzie dumną matką szóstki naszych dzieci, a ja zostanę sławnym pisarzem.

Gdy zegar wybił dwunastą, wszyscy chwycili się za ręce i odśpiewali chórem *Auld Lang Syne*. Rozejrzałem się wokół, zatrzymując wzrok na Pandorze, Cavendishu, matce, ojcu, ojcymie, babci, rodzicach Pandory Iwanie i Tani Braithwaite'ach oraz na psie. Łzy napłynęły mi do oczu. Mam prawie dwadzieścia cztery lata, pomyślałem, i czego dokonałem w życiu? Gdy ucichły ostatnie słowa pieśni, odpowiedziałem sobie w duchu: niczego, Mole, niczego.

Pandora chciała spędzić pierwszą noc nowego roku z Cavendishem w domu swych rodziców w Leicester, ale o wpół do pierwszej przypomniałem jej, że ona i jej leciwy kochanek obiecali odwiedzić mnie do Oksfordu.

– Mój dyżur w Ministerstwie Ochrony Środowiska rozpoczyna się za osiem godzin. Dokładnie o 8.30 – oświadczyłem.

– O rany, nie możesz się urwać na jeden dzień bez pozwolenia? Musisz się tak płaszczyć przed tym żalosnym komisarzem Brownem? – spytała ze zniecierpliwieniem.

Ja na to z godnością (mam nadzieję):

– Pandoro, niektórzy ludzie dotrzymują słowa, w przeciwieństwie do ciebie, która w czwartek 2 czerwca 1983 roku obiecałaś, że za mnie wyjdiesz zaraz po egzaminach końcowych w szkole średniej.

– Miałam wtedy szesnaście lat. Utknąłeś chyba w pętli czasowej! – parsknęła Pandora, a trochę czystej whisky ulało jej się ze szklanki.

Zignorowałem to obraźliwe przypuszczenie.

– Czy odwieziesz mnie do Oksfordu, jak obiecałaś?
– warknąłem, ocierając kropelki whisky z jej sukienki papierową serwetką w renifery.

– Jack! Adrian upiera się, żeby go odwieźć do Oksfordu!
– wrzasnęła Pandora do Cavendisha, który na drugim końcu pokoju omawiał właśnie z babcią brak apetytu u psa.

Sinobrody przewrócił oczami i spojrzał na zegarek.

– Chyba zdążę jeszcze się czegoś napić, Adrianie?
– spytał.

– Tak, ale poprzestań na wodzie. Nie zapominaj, że prowadzisz – odparłem surowo.

Po raz drugi przewrócił oczami i sięgnął po butelkę perrier. Akurat napatoczył się mój ojciec i zaczęli z Cavendishem wspominać Stare Dobre Czasy, kiedy to mogli wypić dziesięć kufli w pubie, a potem pruć samochodem i „nie mieć od razu glin na karku”.

Dochodziła już druga, gdy wreszcie opuściliśmy dom matki. Potem musieliśmy jeszcze wstąpić do domu państwa Braithwaite’ów po torbę Pandory. Umościłem się na tylnym siedzeniu volvo Cavendisha i przysłuchiwałem się ich banalnej rozmowie. Pandora mówi do niego „Drabuniu”, a on do niej „Małpuniu”.

Obudziłem się na przedmieściach Oksfordu i usłyszałem szept Pandory:

– Co sądzisz o przyjęciu u Mole’ów, Drabuniu?

Na co on odpowiedział:

– Jak obiecałaś, Małpuniu, było rozkosznie prostackie. Ubawiłem się setnie.

Obejrzeni się, by zerknąć na mnie, więc udałem, że śpię.

Zacząłem rozmyślać o swojej siostrze Rosie, która, według mnie, jest rozpuszczona jak dziadowski bicz. Fryzjerski manekin, którego zażyczyła sobie na gwiazdkę, stał zaniedbany na parapecie salonu od samych świąt, wpatrując się w równie zaniedbany ogródek. Wysuwane blond włosy manekina były beznadziejnie skołtunione, a twarz wypacykowana koszmarne jaskrawymi kosmetykami. Rosie tańczyła

z Ivanem Braithwaite'em w stylu całkiem niewłaściwym dla ośmiolatki. Wyglądali jak Lolita i Humbert Humbert.

Nabokowie, literacki druhu, szkoda, żeś nie dożył tej chwili! Zadziwiłby cię widok Rosie Mole mizdrzącej się w czarnej mini, różowych rajstopach i szkarłatnym króciutkim topie!

Postanowiłem skrupulatnie prowadzić dziennik w nadziei, że moje życie wyda się bardziej interesujące, jeśli zostanie opisane. Bo na pewno nie jest ciekawe, gdy je przeżywam. Jest nudne, że aż strach.

środa 2 stycznia

Dziś rano spóźniłem się dziesięć minut do pracy. Od autobusu odpadła rura wydechowa. Pan Brown nie wykazał ani krztyny wyrozumiałości.

– Powinieneś sprawić sobie rower, Mole – powiedział.

Oświadczyłem, że w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy ukradziono mi trzy rowery. Nie stać mnie na zaopatrywanie oksfordzkich kryminalistów w ekologiczne środki transportu.

– W takim razie chodź pieszo, Mole – warknął Brown.
– Wstawaj wcześniej rano i maszeruj.

Poszedłem do swego pokoiku i zamknąłem za sobą drzwi. Na biurku zastałem informację, że w Newport Pagnell odkryto kolonię traszek. Ich siedlisko znajduje się tam, gdzie zgodnie z projektem wypada środek nowej obwodnicy. Zadzwoniłem do wydziału ochrony środowiska w Ministerstwie Transportu i uprzedziłem niejakiego Petera Petersona, że być może trzeba będzie wstrzymać roboty przy obwodnicy.

– Ależ to jakiś cholerny absurd! – prychnął Peterson. – Przebudowa tej drogi kosztowałaby kilkaset tysięcy funtów! Tylko po to, by ochronić parę oślizgłych gadów?!

Mój prywatny pogląd na temat traszek jest taki sam. Mam ich powyżej uszu. Jednak płacą mi za to, bym walczył o ich prawo do życia (przynajmniej publicznie), więc wygłosiłem

Petersonowi swój standardowy wykład na temat potrzeby ochrony traszek (zwracając mu uwagę, że traszki to płazy, a nie gady). Przez resztę poranka pisałem raport na temat sprawy Newport Pagnell.

W porze lunchu opuściłem wydział Ministerstwa Ochrony Środowiska i poszedłem odebrać marynarkę z pralni. Zapomniałem zabrać ze sobą kwit (został w domu, gdzie służył jako zakładka w *Outsiderze* Colina Wilsona. Pan Wilson urodził się w Leicester, tak jak ja).

Kobieta w pralni odmówiła wydania mi marynarki, chociaż pokazałem palcem, na którym jest wieszaku!

– Na tej marynarce widnieje plakietka British Legion. Jest pan zbyt młody, by należeć do tej organizacji – oświadczyła.

Student stojący za mną zachichotał.

Rozwścieczony, powiedziałem do obsługującej:

– Widzę, że jest pani dumna ze swoich zdolności detektywistycznych. Może powinna pani machnąć scenariusz odcinka *Inspektora Morse'a* dla telewizji.

Jednak ta formalistka i tak nie chwyciła mojego dowcipu.

Student wepchnął się przede mnie i podał babie cuchnącą koldrę, z żądaniem wyprania jej w ciągu czterech godzin.

Nie miałem innego wyjścia, jak tylko iść do domu po kwit, wrócić do pralni, a potem biec całą drogę do biura z marynarką w plastikowym pokrowcu przerzuconym przez ramię. Mam dziś wieczorem randkę w ciemno i marynarka była po prostu nieodzowna.

Moja ostatnia randka w ciemno zakończyła się przedwcześnie, gdy panna Sandra Snape (niepaląca, dwudziestopięcioletnia, wegetarianka, ciemne włosy, brązowe oczy, 167 cm wzrostu, niebrzydka) w pośpiechu opuściła Burger Kinga, twierdząc, że zostawiła czajnik na gazie. Jednakże obecnie jestem przekonany, że czajnik był zwykłą wymówką. Otóż gdy wróciłem wieczorem do domu, odkryłem, że z tyłu mojego wojskowego szynela zwisała odpruta podszewka. Kobiety nie znoszą obszarpańców.

Spóźniłem się do pracy dwadzieścia pięć minut. Brown czekał już w moim pokoiku. Wymachiwał z wściekłością raportem na temat populacji traszek z Newport Pagnell. Najwyraźniej pomyliłem się w szacunku urodzin traszek na rok 1992. Zamiast 1200 napisałem 120 000. Łatwo zrobić taki błąd.

– Sto dwadzieścia tysięcy traszek w 1992, hej, Mole? – sztychł Brown. – Poczciwi obywatele Newport Pagnell zostaną dosłownie zasypani płazami.

Udzielił mi oficjalnego ostrzeżenia w związku ze spóźnieniem się i kazał podlać kaktus. Potem udał się do swego gabinetu, unosząc ze sobą owoc mojej pracy. Jeśli stracę posadę, jestem załatwiony.

23.30

Dziewczyna, z którą byłem mówiony na randkę w ciemno, nie pojawiła się. Przez dwie godziny i dziesięć minut czekałem na nią w Burger Kingu w centrum miasta. Dziękuję ci, panno Tracy Winkler (spokojna blondynka, dwadzieścia siedem lat, niepaląca, lubi koty i spaceruje w plenerze)! Ostatni raz napisałem na numer skrzynki podany w „Oxford Mail”. Odtąd będę korzystał wyłącznie z kolumny z ogłoszeniami osobistymi w „London Review of Books”.

czwartek 3 stycznia

Mam okropne problemy związane ze swoim życiem seksualnym. A wszystko przez to, że n i e m a m życia seksualnego. Przynajmniej nie z drugą osobą.

Ostatniej nocy leżałem bezsennie, zapytując siebie: dlaczego? Dlaczego? Dlaczego? Czy jestem groteskowy, brudny, odrażający? O nie, nic z tych rzeczy. Czy wyglądam normalnie, jestem czysty, miły? Owszem, taki właśnie jestem. Co robię nie tak? Dlaczego nie mogę zaciągnąć do łóżka młodej, średnio urodzivej kobiety?

Czyżbym wydzielał jakiś obrzydliwy fetor, który czują wszyscy poza mną? Jeśli tak, mam nadzieję, że ktoś mnie

w końcu o tym poinformuje, a wówczas poszukam pomocy medycznej u jakiegoś specjalisty od gruczołów.

O trzeciej nad ranem sen zakłóciły mi odgłosy gwałtownej kłótni. Nie było w tym nic niezwykłego, ponieważ ów dom zapewnia schronienie wielu ludziom, a większość z nich to hałaśliwi, wiecznie pijani studenci, którzy całymi nocami roztrząsają zalety różnych gatunków piwa. Zszedłem na dół w piżamie i ujrzałem, że banda facetów o aparycji opryszków wyprowadza Tariqa, irańskiego studenta, który mieszka w suterenie.

Tariq zawołał:

– Adrian, ratuj!

– Puśćcie go, bo zadzwonię na policję – powiedziałem do jednego z mężczyzn.

Facet ze złamanym nosem odparł:

– To m y jesteście z policji, proszę pana. Pański przyjaciel ma zostać wydalony z kraju na polecenie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Na szczycie schodów prowadzących do sutereny stanęła Pandora. Ubrana była bardzo skąpo, bo właśnie wstała z łóżka.

– Dlaczego pan Aziz ma zostać wydalony? – spytała swoim najbardziej władczym tonem.

– Ponieważ obecność pana Aziza nie sprzyja dobru publicznemu. Chodzi o bezpieczeństwo narodowe – odparł opryszkowaty. – Nie słyszała pani, że toczy się wojna? – dodał, wpatrując się pożądliwie w atłasową koszulkę Pandory, przez którą był doskonale widoczny zarys jej sutków.

– Studiuję w Brasenose College i należę do Młodych Konserwatystów. W ogóle nie interesuję się polityką! – zawołał Tariq.

Nie mogliśmy nic zrobić, żeby mu pomóc, więc wróciliśmy z Pandorą do łóżka. Nie tego samego, jednakowoż, a szkoda.

O dziewiątej rano zadzwoniłem do właściciela budynku, Erica Hardwella, na jego telefon w samochodzie i spytałem,

czy mógłbym się przenieść do wolnego obecnie lokum w suterenie. Mam dość mieszkania w pakamerze Pandory. Hardwell był w złym humorze, ponieważ utknął w korku, ale zgodził się, pod warunkiem że zapłacę depozyt w wysokości 1000 funtów, czynsz za trzy miesiące z góry (1200 funtów), przedłożę referencje z banku oraz potwierdzone notarialnie oświadczenie, że nie będę w suterenie palił świec, używał rondla do frytek ani hodował bulterierów.

Muszę pozostać w pakamerze. Rondel do frytek jest mi wprost nieodzowny.

Lenin miał rację: wszyscy kamienicznicy to dranie.

Ktoś wyglądający zupełnie jak Tariq był w wiadomościach o dziesiątej; machał ze stopni samolotu, mającego lecieć w stronę Zatoki. Też pomachałem, na wypadek gdyby to rzeczywiście był on.

piątek 4 stycznia

Obudziłem się o piątej nad ranem i nie mogłem już zasnąć. Mój umysł uparł się, by przywołać wszystkie upokorzenia, jakich dotychczas doznałem. Przesuwały się kolejno w mej pamięci. Przypomniałem sobie, jak znęcał się nade mną Barry Kent, czemu kres położyła dopiero babcia. Przywołałem w pamięci: dzień w Skegness, kiedy to ojciec oświadczył mnie i matce, że jego kochanka Patyczak powiła właśnie Bretta, syna z nieprawego łoża; ponury dzień, w którym matka uciekła do Sheffield, by przeżyć krótkotrwały romans z panem Lucasem, naszym usłużnym sąsiadem; dzień, w którym dowiedziałem się, że po raz trzeci oblałem egzamin końcowy z biologii; dzień, w którym Pandora wyszła za biseksualistę.

Po upokorzeniach nastąpiła niekończąca się parada *faux pas*: chwila, gdy wachałem klej i model samolotu przykleiłem mi się do nosa; dzień, w którym miała się urodzić moja siostra Rosie, a mnie ręka uwięzła w słoju ze spaghetti, gdzie był schowany banknot pięciofuntowy przeznaczony na kurs taksówką do szpitala położniczego; wpadka z listem, który

napisałem do pana Johna Tydemana w BBC, zwracając się do niego per „Johnny”.

Po *faux pas* nadeszła passa przypadków wskazujących na niskie morale: chwila, gdy przeszedłem na drugą stronę ulicy, by uniknąć spotkania z ojcem, bo miał na głowie czerwona czapkę z pomponem; moje małoduszne zachowanie, gdy matka dostała klimakterycznego ataku hysterii na targu w Leicester – nie powinienem był oddalać się pospiesznie i ukrywać za stoiskiem z kwiatami; dzień, w którym miałem atak zazdrości i podarłem darmowe bilety na pierwszy profesjonalny odczyt poezji Barry’ego Kenta, a potem zwałem winę na psa; opuszczenie Sharon Bott, gdy oświadczyła, że jest w ciąży.

Pogardzam sobą. Zaslługuję na swoje nieszczęście. Naprawdę jestem odrażającą postacią.

Odetchnąłem z ulgą, gdy podróżny budzik wyrwał mnie z ponurych rozmyślań, informując, że jest 6.30 i czas wstać.

Sutki (A. Mole)

Jak maliny
wyjęte z zamrażarki
Zapraszają
język i wargi
lecz ostrzegają, by nie gryźć
Jeszcze nie
wkrótce
Lecz jeszcze nie

Mam ruchomy czas pracy i zgodziłem się chodzić na 7.30, ale nie wiedzieć czemu, choć opuściłem pakamerę o 7.00, przybyłem do pracy dopiero o 8.00. Pokonanie pół mili zabrało mi godzinę. Gdzie pojechałem? Co wyprawiałem? Czyżbym po drodze doznał zamroczenia? Czy zostałem napadnięty i porzucony bez przytomności? Czyżbym, nawet gdy to piszę, cierpiał na zanik pamięci?

Pandora bez przerwy mi powtarza, że potrzebuję natychmiastowej pomocy psychiatrycznej. Być może ma rację. Czuję się, jakbym dostawał pomieszania zmysłów; jakby moje życie było filmem, a ja tylko widzem.

sobota 5 stycznia

Julian, wysoko urodzony mąż Pandory, powrócił ze świątecznej wizyty w majątku rodziców. Wzdrygnął się, wchodząc przez frontowe drzwi do mieszkania.

– O Boże! – jęknął. – Już sama spiżarnia w Twyselton Manor jest większa niż ta cholerna dziura.

– To dlaczego tam nie wrócisz, kiciu? – spytała Pandora, jego tak zwana żona.

– Dlatego, *ma femme*, że moi rodzice, nieszczęsne, zbalamucone istoty, bulą kupę działków, bym studiował język chiński w Oksfordzie. – Wybuchnął śmiechem, który przypominał rzenie konia (a zęby ma w sam raz do tego).

– Ale przecież od roku nie byłeś na żadnym wykładzie – zauważyła dr Braithwaite (dwanaście przedmiotów na małej maturze, pięć przedmiotów na egzaminie końcowym w szkole średniej, licencjat w dziedzinie nauk humanistycznych, doktorat).

– Bo moi wykładowcy to sami nudziarze.

– Marnujesz się, mężu – powiedziała Pandora. – Jesteś najmądrzejszym o r a z najbardziej leniwym mężczyzną w Oksfordzie. Jak nie będziesz się miał na bacności, skończysz w parlamencie.

Julian wrzucił sfatygowaną walizkę ze świńskiej skóry do swego pokoju i wrócił do kuchni, gdzie Pandora szatkowała pory, a ja wypróbowywałem swój nowy przepychacz do zlewu.

– Co nowego, kochani? – spytał, zapalając jednego ze swych wstrętnych rosyjskich papierosów.

– Zakochałam się w Jacku Cavendishu, a on jest zakochany we mnie. Czyż to nie cudowne? – Pandora uśmiechnęła się ekstatycznie i dalej, ze wzmożonym ferworem, szatkowała pory.

– Cavendish? – zdumiał się Julian. – Czy to ten siwowłósy, stary lingwistyczny pierdziel, który nie potrafi utrzymać wacka w spodniach?

W oczach Pandory zapęłgał niebezpieczny płomień.

– Przysiągł mi, że od tej pory będzie wiódł niepoligamiczny styl życia.

Wyprostowała się, by odłożyć nóż na magnetyczny stojak, a jej obcięty króciutko T-shirt podjechał do góry, odsłaniając delikatną przeponę. Z wściekłością dźgnąłem przepychaczem tłustą zawartość zlewu, wyobrażając sobie, że na końcu drewnianej rączki tkwi głowa Cavendisha, a nie gumowy ssak.

Julian zarżał znacząco.

– Cavendish nie zna znaczenia słowa „niepoligamiczny”. Jest niepoprawnym kobieciarzem.

– B y ł – powiedziała z naciskiem Pandora. – I o c z y - w i ś c i e zna znaczenie słowa „niepoligamiczny”, w końcu jest profesorem lingwistyki!

Zostawiłem dryfujący przepychacz w zlewie i udałem się do swej pakamery, gdzie zdjąłem z półki *Condensed Oxford Dictionary* i, posługując się lupą, sprawdziłem znaczenie słowa „niepoligamiczny”. Następnie wybuchnąłem głośnym, cynicznym śmiechem. Mam nadzieję, że słyszano go w kuchni.

niedziela 6 stycznia

Obudziłem się o trzeciej nad ranem i leżałem bezsennie, wspominając czasy, gdy Pandora i ja niemal Poszliśmy na Całość. Wciąż ją kocham. Zamierzam zostać jej drugim mężem. I co więcej, ona przyjmie moje nazwisko. Będzie znana prywatnie jako pani Adrianowa Albertowa Mole.

Po ujrzeniu przepony Pandory

Przecudna linia brzegowa od klatki piersiowej
Do miednicy

Niby przesmyk
Zatoka
Bezpieczna przystań
Pragnę żeglować
Odkrywać
Czytać z gwiazd
Ostrożnie wodzić palcami
Wzdłuż tej linii brzegowej
By wreszcie wprowadzić mój okręt, mego niszczyciela
statek rozkoszy
Do twego portu i dalej

18.00

Zlew nadal zapchany. Przez trzy godziny pracowałem w kuchni, wstawiając samogłoski w pierwszej połowie mojej eksperymentalnej powieści *Oto płaskie wzgórza mej ojczyzny*, która pierwotnie została napisana samymi spółgłoskami. Osiemnaście miesięcy temu wysłałem ją do sir Gordona Gilesea, agenta księcia Karola, a on odesłał mi ją, sugerując, bym wpisał samogłoski.

Powieść *Oto płaskie wzgórza mej ojczyzny* opowiada o człowieku końca dwudziestego wieku i o jego dylematach, koncentrując się na życiu „Nowego Człowieka” w prowincjonalnym angielskim mieście.

Proza ma w sobie Lawrence’owski rozmach, mrok dostojewszczyzny i tchnie liryzmem Hardy’ego. Przewiduję, że wkrótce wejdzie do kanonu lektur szkolnych.

Usunąłem się z kuchni, gdy zjawiała się ta pomarszczona chodząca popielniczka, Cavendish, którego zaproszono na niedzielny lunch. Nie minęły nawet dwie minuty od jego wejścia, a już wyciągał korek z butelki, a kieliszki z kredensu. Następnie usiadł na m o i m, właśnie opuszczonym krześle przy kuchennym stole i zaczął wygadywać jakieś brednie o wojnie w Zatoce, przepowiadając, że za parę miesięcy będzie po wszystkim. W moim przekonaniu Ameryce kroi się drugi Wietnam.

Julian wkroczył do kuchni w swej jedwabnej piżamie, z egzemplarzem „Hello!” w ręku.

– Julianie – odezwała się Pandora – poznaj mego kochanka, Jacka Cavendisha. – Obróciła się do Cavendisha i ciągnęła: – Jack, to Julian Twyselton-Fife, mój mąż.

Mąż Pandory i jej kochanek uścisknęli sobie dłonie.

Odwrociłem się z niesmakiem. Uważam się za człowieka kulturalnego o liberalnych poglądach. Rzeczywiście, w niektórych kręgach jestem postrzegany jako dość postępowy myśliciel, lecz nawet mną wstrząsnęło tak skrajne zepsucie moralne bijące z tej sceny.

Wyszedłem z mieszkania, by zaczerpnąć nieco świeżego powietrza. Gdy dwie godziny później powróciłem ze spaceru wokół zewnętrznej obwodnicy, Cavendish nadal siedział w kuchni i opowiadał nudne historyjki o swoich licznych dzieciach i trzech byłych żonach. Podgrzałem sobie w mikrofalówce niedzielny lunch i zabrałem go do pakamery. Resztę wieczoru spędziłem na wsłuchiwaniu się w śmiechy dobiegające zza ściany. Obudziłem się o drugiej w nocy i nie mogłem już zasnąć. Zapełniłem dwa arkusze formatu A4 projektami tortur dla Cavendisha. Nie przystoi to rozumnemu człowiekowi.

TORTURY DLA CAVENDISHA

1) Przykuć go łańcuchem do ściany, a szklanek wody ustawić tuż poza jego zasięgiem.

2) Przykuć go nagiego do ściany, podczas gdy gromadka nagich dziewcząt będzie przechodzić мимо, okrutnie szydząc z jego zwiotczałego i j e d n o c z e ś n i e pobudzonego penisa.

3) Zmusić go do siedzenia w pokoju z Ivanem Braithwaite'em, podczas gdy Ivan będzie omawiał szczegółowo konstytucję Partii Pracy, ze szczególnym naciskiem na paragraf czwarty (to prawdziwa tortura, mogę osobiście zaświadczyć).

4) Pokazać mu film wideo z ceremonii moich zaślubin z Pandorą. Ona olśniewająca w bieli, ja w cylindrze i fraku,

każde z nas w rękawiczkach, i pokazuję mu znacząco dwa palce.

Niechaj kara będzie zadośćuczynieniem za zbrodnię.

poniedziałek 7 stycznia

Zacząłem dziś zapuszczać brodę.

Część traszek z Newport Pagnell przekroczyła drogę. Zadzwoiłem do Petersona z Ministerstwa Transportu, aby go o tym poinformować. Niewątpliwie społeczność się podzieliła. Przypuszczam, że wszystko to za sprawą jakiejś samiczki: *cherchez la femme*.

środa 9 stycznia

Po raz pierwszy w życiu nie mam żadnego pryszcza, węgry ani krosty. Przy śniadaniu zwróciłem uwagę Pandory na to, że moja cera jest nieskazitelna, a ona przerwała malowanie rzęs, obrzuciła mnie chłodnym spojrzeniem i powiedziała: „Jesteś nieogolony”.

Przed wyjściem do pracy przez dziesięć minut przepychałem zlew, ale na próżno.

– Trzeba będzie wezwać jakiegoś faceta z krzepą – powiedziała Pandora.

Czy ona zdaje sobie sprawę, jak podziały na mnie te niedbale rzucone słowa? Pozbawiła mnie przywilejów mej własnej płci! Obcięła moje biedne, bezużyteczne jaja!

czwartek 10 stycznia

Brown polecił, bym się ogolił. Odmówiłem. Być może udam się po poradę do Związku Zawodowego Służby Cywilnej i Publicznej.

piątek 11 stycznia

Złożyłem podanie o przyjęcie do Związku.

Pandora znalazła listę tortur Cavendisha w formacie A4. Zapisała mnie na wizytę do swojej przyjaciółki Leonory De Witt, która jest psychoterapeutką. Zgodziłem się, acz niechętnie. Z jednej strony jestem przerażony swoją podświadomością i tym, co objawi na mój temat. Z drugiej nie mogę się doczekać, kiedy będę mógł mówić o sobie bez przerwy przez godzinę bez przerywania, wahania czy powtarzania.

sobota 12 stycznia

Ostatni były kochanek Pandory, Rocky (Duży Chłopiec) Livingstone przyszedł dziś do mieszkania, żądając zwrotu swej miniwieży. Jako że dysponuje 191 centymetrami wzrostu i 95 kilogramami pięknie wyrzeźbionych mięśni, bez wątplenia należy go uznać za faceta z krzepą. Pandory nie było, bo poszła na spotkanie z niektórymi z dzieci Cavendisha w hotelu Randolph. Tak więc, pod jej nieobecność, wydałem mu miniwieżę. Po rozejściu się z Pandorą Rocky otworzył nowe sale gimnastyczne w Kettering, Newmarket i Ashby de la Zouch. On i jego nowa dziewczyna, Carly Pick, są wciąż szczęśliwi.

– Carly to prawdziwa gwiazdeczka, Aidy – zapewnił Rocky. – A ja mam uważanie dla dam.

Powiedziałem Rocky'emu o profesorze Cavendishu. Był zniesmaczony.

– Ta Pandora to wszystkich wykorzystuje. Tylko dlatego, że jest taka mądra, to już myśli że... – wymachiwał rękami, w poszukiwaniu właściwego słowa, po czym zakończył: – ...jest mądra.

Przed wyjściem przepchał zlew. Byłem mu bardzo wdzięczny. Miałem już dosyć zmywania naczyń w łazienkowej umywalce. Żaden garnek nie mieścił się pod kranem.

Podszedłem do okna i patrzyłem, jak Rocky odjeżdża. Carly Pick oplótła mu szyję ramionami.

niedziela 13 stycznia

Piętnastego o północy mija termin ultimatum wojny w Zatoce. Co zrobię, jeśli wezwą mnie, bym walczył o swój kraj? Okryję się sławą czy zmoczę się ze strachu, słysząc ostrzał wroga?

poniedziałek 14 stycznia

Poszedłem do Sainsbury's i nakupiłem puszek z fasolką, świec, nadziewanych ciasteczek, zapalek, baterii do latarki, paracetamolu, multiwitaminy, krakersów i puszek z peklowaną wołowiną, po czym schowałem to wszystko w kredensie w pakamerze. Jeżeli wojna dotrze aż tutaj, będę dobrze przygotowany. Pozostali lokatorzy mieszkania będą musieli liczyć na łut szczęścia. Przewiduję historyczne wykupywanie towarów na skalę nigdy wcześniej niewidzianą w tym kraju. Pomiędzy półkami supermarketów będą toczyły się walki.

Spotkanie z Leonorą De Witt w piątek 25 tego miesiąca o 18.00.

wtorek 15 stycznia

PÓLNOC. Jesteśmy w stanie wojny z Irakiem. Zadzwo-
niłem do Leicester i powiedziałem matce, żeby nie wypuszczała psa z domu. Ma już dwanaście lat i źle reaguje na nieoczekiwane hałasy. Roześmiała się i spytała: „Odbija ci?” „Prawdopodobnie”, odparłem i odłożyłem słuchawkę.

środa 16 stycznia

Kupiłem szesnaście butelek wody mineralnej, na wypadek gdyby dopływ wody został odcięty po bombardowaniach irackich sił powietrznych. Musiałem aż cztery razy obrócić do sklepu na rogu, ale czuję się bezpieczniej, wiedząc, że nie zaznam pragnienia w trakcie nadchodzącego Blitzkriegu.

Brown od paru dni nie robi uwag na temat mojej brody. Jest zatroskany wpływem, jaki wywrze operacja „Pustynna Burza” na przyrodę pustyni.

– Obawiam się, że iracka przyroda jest po stronie wroga – oświadczyłem. – Bardziej martwię się o swojego psa w rodzinnym Leicester.

– Jak zawsze zaściankowy, Mole – powiedział Brown, wydymając wargi.

Poczułem się urażony. Brown nie czyta nic poza czasopismami przyrodniczymi, podczas gdy ja poznałem większość arcydzieł literatury rosyjskiej i właśnie zabieram się do *Wojny i pokoju*. To raczej nie świadczy o zaściankowości, Brown!

czwartek 17 stycznia

Pożyczyłem przenośny kolorowy telewizor, żeby móc oglądać wojnę w Zatoce w łóżku.

piątek 18 stycznia

Rzecznikiem amerykańskiej armii jest facet, który przedstawia się jako „Colon Powell”. Za każdym razem jak go widzę, myślę o kolonoskopii. To ujmuje wojnie dostojęstwa.

sobota 19 stycznia

Bert Baxter zadzwonił dziś do mnie do biura (zabiję tego kogoś, kto dał mu numer). Chciał się dowiedzieć, „kiedy odwiedzę go z jego ulubionym dziewczęciem”. „Ulubione dziewczę” to Pandora. Dlaczego Bert po prostu nie u m r z e, jak inni emeryci. Przecież jakość jego życia jest dość marna. Stał się tylko ciężarem dla innych (dla mnie).

Nie wykazał ani krztyny wdzięczności, gdy w zeszłym roku kopałem grób dla jego psa Szabli, choć niech no kto spróbuje wykopać schludniejszą dziurę w ubitej ziemi zarzewiałym rydłem ogrodniczym. Gdybym miał do dyspozycji porządną łopatę, wówczas, *naturellement*, grób byłby

porządniejszy. Prawda jest taka, że nienawidziłem Szabli i bałem się go. Dzień, w którym ten wstrętny owczarek alzacki zdechł, był dla mnie radosny. Nigdy więcej wdychania jego niezdrowego oddechu. Nigdy więcej wpychania tabletek wzmacniających Boba Martina pomiędzy przerażające zębi-ska.

Bert przez chwilę bełkotał coś o wojnie, a potem spytał, czy słyszałem dziś rano mojego dawnego wroga Barry'ego Kenta w programie *Stop the Week*. Wygląda na to, że Kent publikuje swą pierwszą powieść pt. *Dziennik kretyna*. To utwierdza mnie w przekonaniu, że Bóg nie istnieje. Przecież właśnie ja zachęcałem Kenta do pisania wierszy, a teraz dowiaduję się, że były skinhead, ten ptasi mózdzek, skończony głąb napisał powieść, a w dodatku ją o p u b l i k o w a ł !!!

Pandora powiedziała mi dziś wieczór, że dzięki Kentowi Ned Sherrin, A.S. Byatt, Jonathan Miller i Victoria Mather przez cały program konali ze śmiechu. Ponoć nie sposób było dodzwonić się do BBC, bo słuchacze chcieli wiedzieć, kiedy ukaże się *Dziennik kretyna* (w poniedziałek). To bez wątpienia ostatnia kropla przepełniająca kielich. Moje zdrowie psychiczne wisi na włosku.

niedziela 20 stycznia

Przechodziłem właśnie koło księgarni Waterstone's, gdy odniosłem wrażenie, że na wystawie stoi Barry Kent. Podniosłem rękę w powitalnym geście i powiedziałem „cześć, Baz”, ale w tej samej chwili uświadomiłem sobie, że uśmiechający się ironicznie skinhead to tylko figura wycięta z kartonu. Cała witryna wypełniona była egzemplarzami *Dziennika kretyna*. Nie wstydzę się przyznać do tego, że z mych ust posypały się przekleństwa.

Gdy przeglądałem cienki tom, zwróciłem uwagę na liczne sprośności zaśmiejające książkę, jak również na nazwisko jednej z postaci – Aiden Vole. Ów Aiden Vole ma obsesję na punkcie spraw analnych. Jest szowinistą, zatwardziałym konserwatystą i nie wie mu się z kobietami. Aiden Vole

jest bez wątpienia niegodziwą karykaturą mnie samego. Zostałem zniesławiony. Muszę się spotkać z moim adwokatem jutro z samego rana. Polecę mu albo jej (właściwie to jeszcze nie mam adwokata), aby zażądał/a kilkuset tysięcy funtów odszkodowania. Jakoś nie mogłem się zmusić do kupienia egzemplarza książki. Dlaczego mam dorzucać się do jego honorarium? Gdy wyszedłem z księgarni, zauważyłem ogłoszenie, że Kent będzie czytał fragmenty *Dziennika kretyna* na spotkaniu z czytelnikami we wtorek o 19.00. Będę obecny na sali. Kent opuści Waterstone's jako wrak człowieka, kiedy już z nim skończę.

poniedziałek 21 stycznia

Mój pokój, Ministerstwo Ochrony Środowiska

Właśnie słuchałem Kenta w moim przenośnym tranzytorze w programie *Start the Week*. Bez wątpienia znacznie wzbogacił swoje słownictwo. Melvyn Bragg powiedział, że postać Aideny Vole'a jest „cudownie śmieszna” i spytał, czy została inspirowana rzeczywistą postacią. Kent zaśmiał się i odparł: „Jesteś pisarzem, Melv, więc wiesz, jak to jest. Vole to mieszanka rzeczywistości i fikcji. Reprezentuje wszystko, czego najbardziej nienawidzę w tym kraju, to znaczy zaraz po nowej pięciopensówce”. Pozostali goście – Ken Follett, Roy Hattersley, Brenda Maddox i Edward Pearce – śmiali się do rozpuku.

Pozostałą część ranka spędziłem, wertując książkę telefoniczną w poszukiwaniu adwokata, którego nazwisko wzbudziłoby moje zaufanie. Dokonałem wyboru i zadzwoniłem do kancelarii „Pastor, Pastor, Pastor i Luther”. Mam umówione spotkanie z panem Lutherem o 11.30 w czwartek. Miałem wprawdzie w czwartek rano odwiedzić z Brownem traszki z Newport Pagnell, ale będzie musiał sam stawić im czoło. Stawką jest moja przyszła reputacja poważnego powieściopisarza.

Dziś umarł Alfred Wainwright, autor przewodników po górzystych terenach Krainy Jezior. Posługiwałem się niegdyś

mapami pana Wainwrighta, gdy próbowałem odbyć rajd wędrowny „od wybrzeża do wybrzeża” z klubem młodzieżowym Zejdźmy z Ulic. Niestety, pół godziny po opuszczeniu schroniska młodzieżowego w Grimsby nastąpiła u mnie hipotermia i mój rekordowy wyczyn nie doszedł do skutku.

czwartek 22 stycznia

Recenzja *Dziennika kretyna* z „Guardian”:

„Błyskotliwy opis findesieclowego prowincjonalnego życia. Mroczne. Komiczne. Kupcie koniecznie”. Robert Elms

Pakamera, 22.00

Nie mogłem wejść do środka, by zobaczyć się z Kentem; wszystkie bilety zostały wyprzedane. Próbowałem porozmawiać z nim, gdy wchodził do księgarni, ale nie udało mi się podejść wystarczająco blisko. Był otoczony przez prasę i ludzi od reklamy. Miał na nosie okulary przeciwsłoneczne. W styczniu.

środa 23 stycznia

Broda ładnie rośnie. Dwa wypryski na lewej łopatce. Lekki ból w odbycie, ale poza tym jestem w wyśmienitej kondycji.

Czytałem długi wywiad z Barrym Kentem w „Independent”. Same kłamstwa od góry do dołu. Skłamał nawet na temat swego pobytu w więzieniu, twierdząc, że został skazany na osiemnaście miesięcy za różne akty przemocy, a ja dobrze wiem, że dostał cztery za zniszczenie ligustrowego żywopłotu, co podpada pod szkody podlegające karze. Wysłałem do „Independent” faks z wyjaśnieniem tej sprawy. Nie sprawiło mi to przyjemności, lecz bez Prawdy nie jesteśmy lepsi od psów. Prawda jest najważniejszą rzeczą w moim życiu. Bez Prawdy jesteśmy zgubieni.

czwartek 24 stycznia

Okłamałem dziś rano Browna przez telefon, mówiąc, że nie mogę odwiedzić siedliska traszek w Newport Pagnell z powodu poważnej migreny. Brown długo truł o tym, że „nigdy nie wziął wolnego dnia przez dwadzieścia dwa lata”. Pochwalił się nawet, że „wydalił wiele solidnych kamieni nerkowych w biurowej toalecie”. To chyba wyjaśnia, dlaczego pisuar jest tak popękany.

Spóźniłem się na spotkanie z adwokatem, panem Lutherem, chociaż z mieszkania wyszedłem odpowiednio wcześnie – kolejna pętla czasowa czy chwilowa utrata pamięci – w każdym razie tajemnicza sprawa. Gdy opowiadałem Lutherowi (bardzo szczegółowo) o tym, jak Kent mnie znieślawił, zauważyłem, że parokrotnie ziewnął. Przypuszczam, że musiał raczej późno się położyć; wygląda na dość rozwiązłego. Miał szelki z wizerunkami Marilyn Monroe.

Wreszcie uniósł rękę i powiedział: „Dosyc. Dość już słyszałem”, zresztą dość poirytowanym tonem. Następnie pochylił się nad biurkiem i spytał:

- Czy jest pan niezmiernie bogaty?
- Nie – odparłem. – Nie niezmiernie.
- Czy jest pan rozpaczliwie ubogi? – spytał wtedy.
- Nie rozpaczliwie. Dlatego właśnie...

Luther przerwał, nim zdążyłem dokończyć zdanie:

– Bo skoro nie jest pan niezmiernie bogaty ani rozpaczliwie biedny, nie stać pana na założenie sprawy w sądzie. Nie kwalifikuje się pan do darmowej pomocy prawnej i nie może pan sobie pozwolić na to, by płacić adwokatowi tysiąc funtów dziennie, nieprawdaż?

– Tysiąc funtów dziennie? – spytałem, całkiem osłupiały.

Luther uśmiechnął się szeroko, odsłaniając złoty ząb trzonowy.

Przypomniałem sobie radę babci: „Nigdy nie ufaj człowiekowi ze złotym zębem”. Podziękowałem panu Lutherowi uprzejmie, lecz chłodno, i opuściłem jego kancelarię. To tyle,

jeśli chodzi o angielski wymiar sprawiedliwości. Jest najgorszy na świecie. Gdy mijałem poczekalnię, zauważyłem egzemplarz *Dziennika kretyna* na stoliczku dla gości, obok numerów „Amnesty” i „The Republican”.

Po przyjeździe do domu znalazłem wiadomość od Lenory De Witt, która informowała, że nie może się ze mną jutro spotkać. Dlaczego? Czy ma wizytę u fryzjera? Czy w jej gabinecie będą montowane podwójne okna? Czy jej rodziców znaleziono martwych w łóżku? Czyżbym był aż tak nieważny, że mój czas jest tylko igraszką dla pani De Witt? Zaproponowała nowy termin wizyty: czwartek 31 stycznia o 17.00. Nagrałem się na jej automatyczną sekretarkę, potwierdzając nowy termin wizyty, lecz jednocześnie wyraziłem swe niezadowolone.

sobota 26 stycznia

Nie spałem przez całą noc, oglądając relacje z operacji „Pustynna Burza”. Czuję, że przynajmniej tyle mogę zrobić – w końcu utrzymanie demokracji w Kuwejcie kosztuje rząd Jej Królewskiej Mości trzydzieści milionów funtów dziennie.

niedziela 27 stycznia

Według dzisiejszego „Observera” Kuwejt nie jest ani nigdy nie był demokratyczny. Rządzi nim kuwejcka rodzina królewska.

Sinobrody roześmiał się, kiedy mu to oznajmiłem.

– To wszystko z powodu r o p y, Adrianie – powiedział.
– Czy sądzisz, że Jankesi by tam siedzieli, gdyby głównym produktem Kuwejtu była r z e p a ?

Pandora schyliła się i ucałowała jego zwiędły kark. Nigdy nie pojmę, jak mogła pozwolić na to, by jej młode, pełne wigoru ciało weszło w kontakt z jego sędziwą, pomarszczoną skórą. Musiałem pójść do łazienki i przez chwilę głęboko oddychać, by się powstrzymać od wymiotów. Dlaczego się z n i m ślini, skoro mogłaby mieć m n i e?

O 16.00 zadzwoniła matka. Słyszałem, jak mój młody ojczym Martin Muffet wali młotkiem w tle.

– Martin zbija półeczki na moje bibeloty – ryknęła w słuchawkę, by przekrzyczyć hałas. Potem spytała, czy czytałem fragmenty *Dziennika kretyna* w „Observerze”. Mogłem zgodnie z prawdą odpowiedzieć, że nie.

– A powinieneś – powiedziała matka. – To jest po prostu cudowne. Jak spotkasz Baza, poproś o egzemplarz z dedykacją dla Pauline i Martina.

– Bardzo mało prawdopodobne, żebym spotkał Kenta. Nie obracam się w tych samych znakomitych kręgach co on.

– A w jakich to znakomitych kręgach ty się obracasz? – spytała matka.

– W żadnych – odparłem zgodnie z prawdą. Potem odłożyłem słuchawkę, poszedłem do łóżka i naciągnąłem kołdrę na głowę.

poniedziałek 28 stycznia

Brytyjczycy Jo Durie i Jeremy Bates wygrali w konkursie debłowych zespołów mieszanych w Melbourne. To bez wątplenia wskazuje na renesans brytyjskiego tenisa.

Myszka Pandory

Kocham jej małą Myszkę
Ma takie ciepłe futerko
Ale niechbym ją tylko pogłaskał
Wezwałaby policję i zidentyfikowała
W grupie podejrzanych
A to by mi zaszkodziło

środa 30 stycznia

Doznałem szoku, gdy usłyszałem w Radio Four, że dziś został pochowany król Norwegii Olaf V. Jego wkład w nieustający sukces norweskiego przemysłu garbarskiego jest niedoceniany przez przeważającą część brytyjskiej opinii

publicznej. Na uroczystościach żałobnych Anglię reprezentował książę Karol.

Pożyczyłem z biblioteki *Scenes from Provincial Life* Williama Coopera. Wystarczyło mi czasu na wybranie tylko jednej książki, gdyż w dziale romansów znaleziono „podejrzaną paczkę” i bibliotekę ewakuowano.

Zlew znów zapchany. Usiłowałem go odetkać przez cały czas trwania *Archerów*, ale na próżno.

czwartek 31 stycznia

Zjawiłem się w gabinecie terapeutycznym na Thames Street dopiero o 17.15. Leonora De Witt była niezadowolona.

– Będę zmuszona policzyć panu za całą godzinę, panie Mole – oświadczyła, sadowiac się w fotelu, który był pokryty resztkami starego dywanu. – Gdzie chciałby pan usiąść? – spytała. W pokoju było wiele krzesel. Wybrałem krzesło stołowe stojące pod ścianą.

– Wydawało mi się, że naszym spotkaniem będzie patronował Narodowy Fundusz Zdrowia – powiedziałem.

– Wobec tego grubo się pan mylił – odparła pani De Witt. – Biorę trzydzieści funtów za godzinę – pod auspicjami przedsiębiorstwa prywatnego.

– Trzydzieści funtów za godzinę! Ilu sesji będę potrzebował? – spytałem.

Wyjaśniła, że nie potrafi tego przewidzieć, nic o mnie nie wiedząc. To zależy od tego, z jakiej przyczyny jestem nieszczęśliwy.

– Jak się pan czuje w tej chwili? – zainteresowała się.

– Trochę mnie boli głowa, ale poza tym dobrze – odparłem.

– Co pan robi z rękami? – spytała spokojnie.

– Załamuję je – oświadczyłem.

– Co ma pan nad brwiami? – spytała.

– Pot – odpowiedziałem, wyciągając chusteczkę.

– Czy ma pan ściśnięte pośladki, panie Mole? – drażyła.

– Sądzę, że tak – powiedziałem.

– A teraz proszę jeszcze raz odpowiedzieć na moje pierwsze pytanie. Jak się pan czuje w tej chwili?

Jej wielkie brązowe oczy spotkały się z moimi. Nie mogłem odwrócić wzroku.

– Czuję się bardzo nieszczęśliwy – odparłem. – I skłamałem o tym bólu głowy.

Długo rozwodziła się na temat terapii *Gestalt*. Wyjaśniła, że mogę wyuczyć się „mechanizmów radzenia sobie”. Oprócz Pandory, jest chyba najśliczniejszą kobietą, z jaką rozmawiałem. Trudno mi było oderwać oczy od jej stóp w czarnych pończochach wsuniętych w czarne zamszowe pantofle na wysokich obcasach. Miała na sobie rajstopy czy pończochy?

– A więc, panie Mole, czy sądzi pan, że możemy razem pracować? – spytała.

Zerknęła na zegarek i wstała z miejsca. Włosy spływały jej z pleców niby rzeka o północy. Ochocho potwierdziłem, że pragnę widywać ją raz w tygodniu. Potem dałem jej trzydzieści funtów i wyszedłem.

piątek 1 lutego

Właśnie wróciłem z Newport Pagnell. Nerwy mam w strzępach. Brown prowadził samochód jak jakiś nawiedzony. Od razu przekroczył dozwoloną prędkość, następnie wjechał na krawężnik, otarł się o żywopłot, a na autostradzie sunął naszym delikatnym fordem escortem w odległości zaledwie piętnastu centymetrów za wielką ciężarówką, która jechała przed nami.

– Pozostając w cieniu aerodynamicznym za pędzącą ciężarówką, oszczędza się cenne paliwo – powiedział gwoli wyjaśnienia. Ten facet jest fanatykiem ochrony środowiska. Ostatnie święta Bożego Narodzenia spędził, klasyfikując wodorosty w Dungeness. Nic dodać, nic ująć. Dzięki Bogu za weekend. Albo *le weekend*, jak powiadają nasi europejscy kumple.